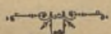
Nr. 18. (dodatkowy). Lwów dnia 27. Czerwca 1883. Rok VI.

DZIENNIK DLA WSZYSTKICH

CZASOPISMO ILLUSTROWANE.

Obrazki caryzmu.



Pamiętniki J. GORDONA.

(Ciąg dalszy)

Nareszcie mię przyzwano. Zmiana dekoracji. Ujrzałem się w sali, w pośrodku której przy wielkim stole, nakrytym zielonem suknem, siedziała pyszna trójca, a mianowicie: na pierwszem miejscu, błyszczący w złotych naramiennikach i przy orderach, jenerał Jołszyn, jako słońce — a obok niego pułkownik żandarmów Leichte i major Szwajkowski*), jako dwa niebieskie satelity. Skłoniłem się trójcy na prawo i lewo, a słońce ozwało się do mnie po polsku:

— Co pan tu porabiasz?

— Proszę mi pozwolić oznajmić, że w ciągo niespełna jednej doby, postępowanie ze mną w cytadeli, pomijając podróż, jaką odbyłem, tak mię znużyło, że nie jestem w stanie, nie mogę odpowiadać dzisiaj na żadne indagacje.

— Jakie postępowanie? — co to znaczy?

— Tak, jenerale. Morzą głodem zaraz na wstępie — dają pościel po jakimś trupie, czy kalece — całą noc wpadają, jak mary, pod pozorem objaśniania świecy — a przytem zachciało się żołnierzom straszyć mię, jak dzieciaka, zamykaniem do składu rózeg. „Nie zasłużony, ale szczęśliwy“ — dodałem.

— Pościel ja każę oczyścić; co do innych pretensyj, jak świecy, to jest zwykły tutejszy porządek. A teraz, masz pan tu kilka arkuszy papieru, zacyfrowanych moją ręką. Odpoczywając, pisz sam swój protokół. Zostawiamy mu wolność zupełną.

Skinął głową, zawróciłem się do wyjścia.

— A propos, czy pan już po kawie?

— Nie, jenerale.

— To można sobie przynieść á conto własnych funduszów, jeśli masz z sobą takowe.

— Dziękuję!

*) Wypędzony ze służby za łajdactwo, ze

Po tej wstępnej rozmowie, powróciłem do mej klatki.

Za chwilę, Morok czyniąc zwykły ranny obchód więzienia, przyszedł z księgą i ołówkiem w ręku.

— Jak się mają? — rzecze, poglądając na kraty i ściany.

— Kto jak się ma?

— Pan.

— Dziękuję; dobrze.

— Czy czego nie potrzebują?

— Kto?

— Pan.

— Kawy, z rozkazu jenerała.

Morok na stronicę 44 kawę wprowadził — i niezadługo, jakieś fusy, pod nazwiskiem kawy, zjawiły się z jego kuchni, za które drożej, jak za mokkę w kawiarni u Zuzi, zapłacić sobie później kazano.

Napisy na murach.

Popiwszy tedy fusów, zacząłem rozpatrywać się bliżej w nowem mieszkaniu; a nazwyczaiwszy już nieco oczy do zmroku w niem panującego, postrzegłem wyraźniej ściany podrapane w około i poznałem, że to wszystko były, już to świeżo, już dawniej zacierane napisy, w różnych językach — jakoteż nazwiska osób, które na pierwszym wstępie nie uderzały wzroku.

W zakątkach jednak, jak między kaflami pieca, na nogach łóżka, pod krawędziami okna i t. d., dostrzegłem jeszcze mnóstwo już to na pół zatartych pyłem czasu, już całkowitych napisów, które zwłaszcza wieczorem, za przybliżeniem świecy, stawały się czytelnymi.

Oprócz napisów zwykłemi literami i rysunków, znajdowałem także — podobnie, jak we wszystkich innych celach, dokąd mię później przenoszono — wiele wierszy kropkowanych dziwnym rozkładem. Mniemałem więc, że pod tymi nowoczesnymi hieroglifami utajone myśli spoczywają, i że to jest język piśmienny porozumiewania się między więźniami — podobnie, jak pukanie zastępować im musi ustny.

Ale dojść do nauczenia go się samemu? Oto zagadka.

Oczekując jej rozwiązania, pójdźmy odgrzebywać myśli oryginalne i z różnych autorów wzięte, wyrażone po większej części w języku aniołów, w poezji, a rzucone na martwe mury Pompei, która pochłonęła tylu ziomków naszych. Któraż z polskich rodzin nie opłakiwała tam kogoś bliskiego jej sercu?

Oto jego słowa:

„W lochu ciemnym, wilgotnym,
Więzień na słomie leży;
K' woli chwilom samotnym,
Pamięcią w przeszłość bieży,
I co kochał, co lubił,
Czemu duszę poślubił,
Z czem myśl, życie skojarzył,
O wszystkiem — wszystkiem marzył.“

„Dulce et decorum est pro patria mori.“

„O luba Polsko! krwią zbroczona niwo,
Los zajrzał twoim wawrzynom;
Ale im więcej jesteś nieszczęśliwą,
Tym jesteś droższą twym synom!“

„Skoro nieszczęści dni twoje zachmurzy,
Uzbrój się cnotą i męztwem zuchwałem;
Cnota prawdziwa nie lęka się burzy,
Rozpacz jest tylko słabych dusz udziałem.“

„A kto wszystko za kraj stracił,
Kto ojczyźnie służył szczerze,
Ten spokojny i w Sybirze;
Bo część długu już odpłacił!“

„Książę! Czy ty znasz moskiewskie batogi?
Czy wiesz, że wszelka władza od Boga pochodzi?“

KSIĄDZ.

„Wiem, że i władza szatana od Boga pochodzi.“

„Wszystko mi, wszystko, niebiosa wydarły,
Lecz reszty dumy odebrać nie mogą.“

„Skazany zostałem dnia — do ciężkich robót do Nerczyńska, na całe życie.“

„O! oddajcie mi moje ułudzenia stare,
Miłość — nadzieję — i wiarę!“

„Niewinnie cierpiałem.“

„Z prochów naszych powstaną mściciele.“

„Bonaparte powiedział, że gdy dusza jest chorą, potrzeba ją leczyć, jak się leczy rękę, albo nogę. Ja krzepię ducha mojego jedynie nadzieją.“

„Niech przepadnie świat, a niech istnieje sprawiedliwość!“

„Będą ci pokazywać oskarżające cię protokoły z podpisami twych kolegów — nie wierz! — żądaj naocznej konfrontacji.“

„Czy ty żyjesz jeszcze Feliksie?"
„Żyć, czy nie żyć?"
„Czyż dane mi życie jest mą wyłączną własnością?
„Co wolno było Katonowi, nie wolno chrześcianinowi."

„Za przeszłością żale ronić,
W obecności cierpieć skrycie,
Za przyszłością nie śmieć gonić,
Ach — to jest śmierć takie życie!"

„Dzieckiem w kolebce kto łeb urwie hydrze,
W młodości zdusi Centaury,
Ten piekłu ofiary wydrze,
Do nieba sięgnie po laury.
Hej! ramię do ramienia!"

„Śpią po mogiłach mężni bracia moi
A do mnie nawet sen się zbliżyć boi."

„Bo jadłem świata gorżkie, zatrute kołacze,
To mi ciężko na sercu i dla tego płaczę;
A jeśli się rozśmieję, to jak za pokutę,
A jeśli będę śpiewał, to na smutną nutę,
Bo w mojej zwiędłej twarzy, zamieszkała bladość;
Bo w mej zdziczałej duszy, wypleniono radość.
. . . .
Jest trosków, kolców, bolów nie mało w tem życiu,
I więcej niż na jawie, płynie łez w ukryciu.
A kto się hucznym śmiechem wśród jęków odzywa,
Jak szalony w szpitalu, szczęsnym się nazywa."

„I w słowie własnem zaparłem siebie."

„Na saskim Placu, siedmiu kpów,
Strzegą cztery orły ośm lwów!"

„Poczekajta-no kopułki!
Przyjdą jeszcze z Francji pułki;
My nie chcemy obcej wiary,
Wrócą nasze i Pijary."

„Gdy młodzieńcowi ranne rozśmiały się chwile,
Chciał być zwycięzcą na widowniach fali,
W tem go nagle do portu porywają wody;
Wybiegł na ląd żeglarz młody
I odpoczął na mogile,
I już nie pojechał dalej."

„Z piekła rodem Katarzyna,
Moskalami nas zalała."

. . . .
„Myśl o was, jak trupią woń,
Będą odganiać potomni,
Będą schylać smutną skroń,
Ile razy kto was wspomni:
— My nie mieli przodków, nie.
Rzekną, kryjąc wstydu łzę."

„Nasze zagrody wywracają kury,
I dachy nasze runą nam na głowy;
Kamień i glina i piasek gotowy,
Złóżmy je w jedno, a ujrzymy mury."

„Wszelkie królestwo, wszelkie miasto i wszelki dom rozdzielony w sobie, nie ostoi się i upadnie."

„Do jedności więc przedewszystkiem. Bracia! do jedności!"

„Komisja czyha, by nas poróżnić i w mętnej wodzie ryby łowić."

„Panie Boże! Ojcze nasz!
Który jesteś w niebie:
Ty potrzeby nasze znasz,
Błagamy więc Ciebie.
Niech będzie wola Twa święta,
Przyjdź królestwo Twoje Panie,
Skrusz jarzmiące Polskę pęta,
Daj wolności panowanie."

---

i t. d.

Ale następujący wiersz szczególniej mię zaintrygował:

„O mes amis! Le retour serait doux!
Je voudrais aimer et vivre encore;
Mais s'en est fait. Ce ciel que j'aimais me dévore,
Plaignez-moi, mes amis, car je meurs loin de vous."

Byłyż to słowa francuza umierającego?

Przyniesienie mi objadu o południu, przerwało poszukiwania. Siadając do stołu, i na nim postrzegłem cieniutko wyryty napis: „Testament. Wysuń szufladkę, przewróć i odskrob zaschły chleb w szparze." Łatwo się domyśleć, że przystąpiłem natychmiast do odszukania testamentu. Znalazłem stalowy trzpieniek, podobny do osi wydobytej ze sprzączki, na jednym końcu zaostrzony. Nie mogąc zrozumieć jego znaczenia, z uszanowaniem zachowałem go nazad, w przekonaniu, że wielce użytecznym będzie, skoro mój poprzednik aż testamentem go leguje.

Nie darmo Żuczkowski powiedział: „po ścianach nie bazgrać." Wzięła mię teraz ochota napocząć jego drugi owoc zakazany! na okno się wdrapać; i u góry w lufciku, zrobić obserwatorjum; lecz że okno było wysoko, a wasser-zupka stygła, wziąłem się najprzód do drewnianej łyżki.

Jak karmią w cytadeli?

Śniadanie, jak powiedziałem, składa się z bułki, chleba i butelki wody: chleb ten ma wystarczyć i do obiadu; wody na żądanie żandarm dostarcza więcej.

Obiad z trzech potraw:

Jakaś rumfordzka zupa, pod nazwiskiem rosołu — było nazwisko, brakowało tylko rzeczy. Przynoszono ją w cynowej salaterce, do której zamięszał się niekiedy strzępek sołdackiej szyneli kucharza, lub kuchty. Na salaterce był wyrżnięty numer kazamaty.

Drugą potrawą, do której nie dawano widelca, ani noża, była sztuka mięsa utopiona w rosole, zwykle wybrana z jakiegoś ochłapa, że się tak wyrażę, a to z powodu oszczędności gospodarza Moroka.

Trzecią, jeśli można ją liczyć, był sos na kwaśno do mięsa, mający służyć i za desser. Lecz jeżeli nie sos, to gliniane miseczki, na których go podawano, były wielce ulubione dla więźniów; gdyż nie będąc opatrzone numerami, koczując do różnych stancji, z jednej części gmachu do drugiej, gdzie trafem popadły, przenosiły zazwyczaj na dzień-dobry, w dyskretnych na sobie kropeczkach, zakazaną kontrabandę: różnego rodzaju nowiny, zapytania i odpowiedzi — słowem, służyły za telegrafy, depeszy wewnętrznych naszej więziennej republiki.

Na tym obiedzie dyety utrzymywano więźnia, dopóki pierwszych indagacyj z nim nie skończono, co częstokroć długo trwało; później otrzymywał w dodatku kawałeczek pieczeni i trochę jarzyny.

W wigilję Bożego Narodzenia nastąpiła przemiana: zjawiła się śledziowa główka z kartoflami zaprawnymi octem i oliwą, nadto butelka piwa, na całodzienny posiłek. Główka przynosiła chociaż tę korzyść, że jeśli który z więźniów stracił datę miesiąca lub dnia, mógł za ujrzeniem jej sprostować swój kalendarz, już to w głowie, już na ścianie znaczony; a co większa, przenieść się myślą w grono rodziny, lub przyjaciół, łamiących się opłatkiem i zostawiających jedno krzesło próżne przy wieczerzy.

Na Wielka-Noc zaś, święcone było wyśmienite. Z przyniesionego talerzyka, napełnionego kawałkami jajka, różnych ciast i mięsiw, już nie zalatywał zwykły sui generis zapach kuchni morokowej, tłómaczący się przez dziegieć; ale uderzała pewonienie miła woń ciast, w których pieczywie matki nasze celują; ciast nadesłanych przez dobroczynne polki, troszczące się o nasze alleluja.

A jednakże kuchnia Moroka dostarczała marcepany, w porównaniu z tem, co dają na pokarm wygnańcowi, gdy go już nazwą sołdatem, tam — po za Wołgą i Uralem; pokarm, którego do ust nieprzyzwyczajonemu wziąść niepodobna, bez zamrużenia oczu.

Co do kuchni prywatnej, jeżeli kto z krewnych, lub znajomych uwięzionego, postarał się za pomocą wpływów swoich, o pozwolenie dostarczania mu artykułów do pożywienia, mógł mu dosełać przekąskę raz na tydzień, w poranek sobotni; rozumie się, jeśli się to nie sprzeciwiało widokom komisji śledczej; lecz wtedy wszelkie mięsiwo, czy ciasto, krajano drobno, szukając jakiej ukrytej korespondencji. Rzadko się jednak zdarzało, ażeby z odbieranych przez Moroka posyłek, wszystkie dochodziły więźnia — zapewne także przez oszczędność.

Myślę, że z powodu częstych ekonomij, musiał on w prędkim czasie przeistoczyć dom swojej żony, na krainę mlekiem i miodem płynącą; dom żony, bo sam na korytarzach więziennych zwykle przemieszkiwał.

Że zaś nie ma reguły bez wyjątku, zwłaszcza u rządu rosyjskiego, jeżeli tedy komisja rozporządziła, że temu, lub owemu z zamkniętych, ma być dostarczana porcja rumu, lub wina — Morok ścisły był w wykonaniu rozkazu.

Może kto zarzuci: „Jakto, trunek więźniowi? — chyba na wiwaty rozpaczy — przecież to się nigdzie nie zdarza." Otóż dla tego, że nigdzie, zdarza się w cytadeli; bo tam dla komisji wszelki środek jest dobry i prawy, najkrzywsza droga prostą, byle do celu prowadziła.

Lekarz urzędowy bardzo trudne ma tam obowiązki, częstokroć ciężkie na sumieniu ołowie — a biedny więzień, zwłaszcza nowicjusz, nie wie, zkąd następuje zmiana w jego mózgu i systemacie nerwowym. I wy, sami warszawianie, nie wiecie, co się u was dzieje!

Nie mam zamiaru oskarżać medyka, jak nie oskarżam nikogo, cierpienia osobiste zostawiając ubiegłej przeszłości; wyznam tylko, że głęboka ironja, pokryta pięknemi słowy, w lekarzu odwiedzającym więźniów cierpiących, jedynie za własne przekonanie i coś daleko świętszego, co prawy rosjanin zrozumieć potrafi, bardzo mi się nie podobały. Wyznaję także, mając na uwadze dobro

publiczne, że w ciągu uwięzienia, doznałem pierwszy raz w życiu, dziwnych paroksyzmów gorączkowo-nerwowych, jakich i współ-koledzy moi, których później spotykałem na wygnaniu, doświadczali, i że niektórzy z nich dowodzili, że więźniowie unoszą z cytadeli zaród trucizny, denerwującej zwolna.

Nie mogąc ze skutków na sobie dojść rzeczywistych przyczyn, żadnego w tym względzie sądu wydać nie mogę. To jednak pewna, że choć obecnie stąpam po ziemi wolnej, doznawałem i tu jeszcze, ze starych zabytków, jakiejś słabości, przestrachu, acz chwilowego, z którego sobie sprawę zdać nie potrafię. Na wygnaniu zaś, wzbudzał go najczęściej, huk jakiś niespodziewany, komenda, groźba, lub bęben mikołajowski, jęk konającego w szpitalu podczas mojej warty, lub piętnowanie kobiet na szafocie.

Czy zaś cytadela tego przyczyną, późniejsze, a zbrojne towarzystwo, przerażające widoki, lub wszystko wzięte? powiedzieć nie potrafię.

Truciciele! okropne to przypuszczenie.

Mniemałbym raczej, że szkodliwa woda z Uralu, że postępowanie rządu z polakami, oddanymi w sołdaty, za tak zwane polityczne przestępstwa rządu, skazującego ich jednych tylko, pod pozorem służby wojskowej, na gnicie bezczynne w koszarach lazaretach i aresztach, pod nadzorem i ciągłem prześladowaniem barbarzyńskiego żołnierstwa, są pewniejszym, niż wszystkie inne, zarodem trucizny, działającej na ciało i umysł, wytkniętych palcem carskim, ofiar.

Protokół.

Dnia następnego Morok, z wielką księgą i swojem: „Jak się mają i czy czego nie potrzebują“ zjawił się. Nic od niego na ten raz nie potrzebowałem, ale on zażądał odemnie protokołu. Przyobiecałem mu więc przygotować go nazajutrz, a gdy wyszedł, zacząłem się zastanawiać, jakby w rzeczy samej skreślić ów dokument, na którym losy moje ważyć się miały? Lękałem się, wiedząc jakich mieć będę sędziów, każdego wyrazu, mającego wyjść z pod pióra mego, ażeby w nim nie upatrzono dwuznaczności i nie wytłumaczono w przekładzie rosyjskim wedle swego widzimisię, na moją niekorzyść.

Wszak wiadomo, że Wolter, nawet w najwznioślejszych słowach modlitwy Pańskiej, umiał fałsze znajdować, gdy chciał konieczne tego — czegóż więc oczekiwać można było od Leichtego, którego szatański spryt i zła wola były geniuszami cytadeli?

Mając arkusze papieru porachowane i i nie mogąc nic zużyć na bruljon, ale pisząc od razu na czysto, obawiałem się czynić najmniejszej poprawki, aby i ta nie dała powodu nieprzyjaciołom do wyprowadzania niepotrzebnych wniosków. Zaprawdę, trudno jest czynić wyznania człowiekowi, który nie ma wiary w poczciwość sędziów swoich. Namyślałem się długo, zanim siadłem do pisania nieszczęsnepo protokołu.

Przyszła nawet na pamięć obrona pewnego obywatela krakowskiego, mającego czynny udział w powstaniu w roku 1846, który wyrwał się przecież z matni swych badaczy. Obronę tę, mniej więcej, za wzór prostoty w tłómaczeniu się przyjąć zamyślałem. Szlachcic w tym guście się tłumaczył:

„Jakkolwiek zarzucają mi panowie, że byłem powstańcem, a to z powodu, że mię widziano z bronią w ręku w liczbie innych, zdanie to mylne jest. A oto, jak się rzecz miała:

„Szedłem sobie najspokojniej ulicą, gdy, ni ztąd, ni z owąd, napada na mnie jakaś gromada ludu zbrojnego, „chodź z nami!“ wołając. Z razu nie poszedłem z nimi, lecz chciałem przedłużać zamierzoną drogę, gdy oni kulą w łeb mi zagrozili. Kula w łeb, mości dobrodzieju, to były nie żarty. Chcąc nie chcąc, musiałem iść i patrzeć, jak drugich podobnie werbowano.

„Przechodząc około magistratu, wymknąłem się im przecież z zamiarem zaniesienia użalenia samemu dyrektorowi policji— ale proszę sobie wystawić mój zawód, gdy cały gmach pusty znalazłem, bo policja gdzieś się podziała — ja zaś wyszedłszy, drugą gromadę w ulicy spotykam, która znowu mię z sobą zabiera.

„Pytam się, dokąd mię prowadzą? Do szarej kamienicy! — odpowiadają.

„Szara kamienica — szara kamienica— wszak tam żadna z władz nie przemieszkuje? — myślę, ale już nic nie mówię i idę za drugimi. Przybywam na miejsce, aż tam widzę chorągwie powywieszane, i powiedziano mi, że tam jest rząd narodowy. Zapisano mię, dano broń i naturalnie, nosić ją musiałem, skoro nowy rząd rozkazał.“

Nazajutrz, gdy Morok mię wezwał dla odczytania protokołu, poprosiłem przedewszystkiem, żeby mi oznajmić raczono, przed kim staję: czy przed trybunałem, czy przed komisją śledczą? i kto są członkowie, których mam zaszczyt widzieć przed sobą?

Odpowiedziano, że ta wiadomość wcale nie potrzebna. Dodałem, że nie wiem, kto i o co mię oskarża, a w każdym razie nie znając prawa krajowego i nie wiedząc, na mocy jakiego prawa w cytadeli odpowiadać winienem, w razie czynienia mi zarzutów, z powodu których zapewne aresztowany jestem, prosiłbym o przydanie mi adwokata.

— A cóż to? czy pan zabiłeś, albo zrabowałeś kogo, żeby ci aż mecenasów potrzeba było? odezwał się Leichte.

— Właśnie, że nie poczuwam się do żadnej zbrodni, nie przewidując, czem mogłem wykroczyć przeciw prawu karnemu, spisałem tylko, na żądanie, krótki bieg życia; bo nawet nie rozumiem dostatecznie, co znaczy „protokół“.

Potem, odczytawszy mój rodowód, wyraziłem, co tu w treści przytaczam:

„Działo się w Warszawie, w 1848 roku. Przybywszy tam, w przedmiocie naukowym, za paszportem krajowym, zostałem zatrzymany w skutek fałszywej denuncjacji, zaniesionej przez złego człowieka, nazwiskiem Brzezańskiego, do ober-policmajstra miasta Warszawy, jenerała Abramowicza.

„Donos był najnielogiczniejszy w sobie, bo oskarżał mię o szkodliwe wpływy. Jakie wpływy mógł mieć 19-letni młodzieniec, który świeżo opuścił ławę szkolną? — Oskarżał mię oraz o zakazane rozmowy przeciwko rządowi, jakoby prowadzone z donosicielem Brzezańskim; nadto o zamiar udania się tajemnego za granicę i namowę do tego, jego, którego osobiście nie znałem. Wiem tylko, że człowiek mieniący się być tego nazwiska, przychodził często do hotelu, w którym na czas pobytu w stolicy zatrzymałem się, i że usiłował narzucić mi się ze swą znajomością.

„Oskarżyciel nie złożył żadnych dowodów na swój donos; nie wyraził nawet przyczyn, dla których miałem, jak twierdził, udać się za granicę w charakterze tajemniczym.

„W skutek jego doniesienia, zatrzymany w hotelu rzeczonym i po kilkodniowem uwięzieniu mię w policji, zostałem wydalony do Rosji, bez odbytego śledztwa i sądu nademną; bez powziętego o stanie mego zdrowia zdania lekarskiego, zanim udałem się w podróż; słowem, z pominięciem wszelkich formalności prawnych.“

— Musiała być konfirmacja namiestnika; przerwał Leichte.

— Jeżeli była, takowej mi nie odczytano, nie pokazano — nie podpisałem jej; nie mogłem więc i nie mogę, jak tylko uważać ją za nie byłą — a sam nie przekonany będąc przez władzę o żaden postępek przeciwny kodeksowi karnemu, uważałem się i uważam za ofiarę jakiejś okropnej pomyłki, jeśli nie gwałtu publicznego.

— Ale co nam pan tam za androny prawisz! Co nam tam do poprzedniej sprawy jego!... Wreszcie — proszę czytać dalej.

„Opuściwszy Warszawę w gronie złoczyńców, nie wiedziałem za co, dokąd i w jakim celu mię pędzono?

— Czy słyszy jenerał? A to czyste tysiąc nocy, powiastki arabskie, młodzieniec nam opowiada. Czy i przysięgi także nie wykonałeś? Czyż nie wymawiało się wyraźnie i nie podpisywało, że sztandaru do ostatniej kropli krwi bronić się będzie? Wszak łatwo było wiedzieć, że się nie idzie na księdza, ale na żołnierza.

— Być może, łatwo to było dla kogoś innego. Co do mnie, ja się tego nie domyśliłem. Zbyt byłem młody, niedoświadczony, kiedy mię przywiedziono zbrojno do przysięgi — nie ma się więc czemu dziwić, jeżeli w stanie przelęknienia, w jakim się na stopniach ołtarza znajdowałem, nie byłem zdolny do zastanawiania się nad wyrazami, które mi kapłan po sobie powtarzać kazał. Słysząc zaś niegdyś, że każdy z mieszkańców kraju, winien wykonać przysięgę, tak zwaną homagjalną, na wierność najjaśniejszemu panu, przysięgałem w przekonaniu, że po raz pierwszy takową, homagjalną przysięgę składam. Mniemałem nawet, że może przyczyna aresztowania mię była ta, że dotąd tej przysięgi nie wykonałem. Zresztą, nic się nie podpisywało.

— A czy do przysięgi nie poszło się z włosami ostrzyżonemi; nie we fraczku, ale w uniformie rekruckim?

— Tak pułkowniku — i to właśnie było przyczyną powiększenia mego przerażenia przy akcie uroczystym. Z drugiej strony, że włosy mi ostrzyżono, jak strzyżono, a nawet golono wszystkim w partji, do której wcielony byłem, nie wyłączając i okutych w kajdany; jakoteż, że mi dano szarego koloru opończę za ubranie, na której nie znajdowało się metalowych guzików, numerów, ani kołnierza, lub wypustek kolorowych, co się daje spostrzegać zwykle na wojskowych, to mię nie przeświadczało o nadanym mi charakterze wojskowym, jeśli go nosiłem.

— A więc pan nigdy w życiu swojem rekrutów nie widziałeś? Gdzie się pan wychował? — zapytał Jołszyn.

— Wychowałem się tu w Warszawie — tu byłem w szkołach. Wśród wielkiego miasta zajmowały mię inne widoki — może i rekruci przechodzący kiedy około mnie, zwrócili na się me oko, podobnie, jak wiele innych przedmiotów, ale nie uwagę; bo ich sobie nie przypominam.

— Szedłeś pan do wojska. Wszak i my wszyscy, których tu widzisz, nie odrazu zostaliśmy oficerami. Każdy początek jest trudny. Nie ma więc co narzekać, jeżeli się popadło pod przepisy konskrypcji. Wreszcie, ta cała historja do nas nie należy.

— Upraszam jenerała o wysłuchanie końca sprawozdania.

— Słuchamy! słuchamy!...

„Papiery, mianowicie: świadectwa szkolne i wywód jedynactwa — z adoptacji — na mocy którego nie mogłem być oddany do wojska ze zwykłego poboru, jako popisowy, zostały mi przy rewizji odebrane przez policję i nie zwrócone.

„W ciągu drogi, byłem opanowany słabością, która zostawiona bez pomocy, mogła zamienić się w chorobę. Czując się niezdolnym do wytrzymania ciężkich trudów długiej podróży i zbyt surowego obchodzenia się na stójkach, walczyłem między życiem, a śmiercią. Nie mogłem starać się o przyniesienie ulgi, będąc otoczony bagnetami. Poddałem się rozpaczy i pod jej wpływem korzystałem, nierozmyślnie, ze sposobności ucieczki, idąc, gdzie mię oczy prowadziły.

„Później atoli, zastanowiwszy się nad własnym postępkiem, nie wiedząc co począć, żałowałem go, ale już zapóźno. Obawa otrzymania kajdan, odwiodła mię od powrotu na etap. Przedsięwziąłem dostać się do Warszawy, w celu zaniesienia zażalenia do JO. Księcia Namiestnika.

„Błąkając się po lasach, aby nie być schwytanym i związanym, jako nie posiadający paszportu, wyszedłem w końcu na drogę, która mię doprowadziła do Brodów, miasta o kilka mil położonego od punktu, z którego poważyłem się uciec. W Brodach dopiero, rozpatrzywszy się, poznałem, że mimowolnie wstąpiłem do posiadłości austryjackich.

(Uśmiech audytorów.)

„Raz za granicą, poznajomiłem się z kilkoma cudzoziemcami; nadarzyła się sposobność odbycia podróży po Niemczech i Włoszech, z której jako młody człowiek, powodowany ciekawością zwidzenia obcych krajów, korzystać nie omieszkałem; zawsze jednak z zamiarem starania się, po ukończeniu onej, za pośrednictwem jednego z pp. ambasadorów, o sprostowanie krzywdy mi wyrządzonej, jedynie przez dozwolenie powrotu i wolnego przemieszkiwania w kraju.

„Wszczynające się zamieszania w Europie w roku 1848, przyspieszyły ten powrót. Aby uniknąć rewolucji, przybyłem do kraju, zdając się na łaskę Jego Cesarskiej Mości, którego jestem poddanym.

„Zważywszy, że czyn złej woli, nadużycie, lub pomyłka, w roku 1846, powyżej opisane, były źródłem, z którego wypłynęły wszystkie moje nieszczęścia w następstwie, mam honor upraszać najpokorniej dostojne posiedzenie, aby sprawę tę roztrząsnąć i zawiadomić władze wyższe raczyło.

„Któż z panów zaprzeczy, że gdybym nie był niewinnie strącony z drogi sobie właściwej na fałszywą, los mój nie wziąłby był innego kierunku? Odwcłuję się do chrześcijańskiego sumienia panów."

Po wysłuchaniu niniejszego, żaden nie wyrzekł, ani słowa; ołowiane, bez wyrazu oko suchotnika Leichtego, zawisło na mnie. Jołszyn dał znak, abym papier złożył na stole, co uczyniwszy, opuściłem posiedzenie.

Porównanie więzień austjackich z rosyjskimi. Sylvio Pelicco.

Jakże przykre jest przebudzenie się więźnia i jego zapytanie gdzie jestem? gdy czuł we śnie ciepłą rękę brata, siostry, lub przyjaciela! Widok kraty spycha go nagle z eterycznego świata do smutnej rzeczywistości.

Ileż to razy, w owem echu gwaru Warszawy, które dolatywało mię, jak żałośne pienie, jak smętna przegrywka myślom, zdało mi się słyszeć zmieszane głosy osób ukochanych, mieszkających blisko, a nie domyślających się o mym losie!

Na myśl o matce, przedstawiała się Golgota i łzy Marji; wtedy, o ile smuciłem, się że widzieć nie mogę sędziwej rodzicielki, o tyle cieszyłem, że oszczędzoną jej została boleść oglądania mię w kaźni.

Upływały dni, tygodnie i miesiące, odkąd złożyłem był protokół; miesiące, jak wieczność długie, a najmniejsza zmiana nie zaszła w mem życiu jednostajnem. Myślałem, że nawet komisja zapomniała o mnie.

Może byłby zajmującym opis mych walk wewnętrznych, jako historja człowieka, jego upadku i rozwoju w niedoli; lecz opis podobny przeszedłby zakres pisma tego, w którym jednak mniejbym, bez wątpienia, użytecznego powiedział nad to. co już nam wyraził pod tym względem Sylvio Pelicco w swoim hymnie cierpienia, poświęconym Bogu i ludzkości.

Szczęśliwy, że mógł w najcięższych kazamatach cierpiąc znajdować pokarm dla ducha, tę mannę go pokrzepiającą, na której mi zbywało; że i tam nawet mógł świadczyć drugim dobro.

„Moje biedne serce — mówi on — ty kochasz tak łatwo i tak gorąco!"

Dla człowieka uczuciowego, dla którego miłość jest życiem, jakaż to pociecha módz wylewać się do podobnych sobie istot! Sylvio znajdował tę pociechę. Więźniowi cytadeli jest ona odmówioną, przez jakieś losów zagniewanie!

Sylvio znajduje głucho-niemego malutkiego przyjaciela w więzieniu w Medjolanie, kształci go i myśli o jego przyszłości; podziwia śpiew czysty jednej z sąsiadek: „Któż odda nieszczęśliwej szczęście, które straciła?" nuciła Magdalena — rozbraja upór dozorcy Schillera, do tego stopnia, że ten ukazuje czułość serca, jaką starał się ukryć. Wszystkie istoty, które napotyka, mówią; gdy w cytadeli języki są skostniałe pod groźbą Moroka. Jeśli się odezwiesz do żandarma, lub posługacza, próżne twe słowa, bo struchlały milczeniem odpowiada. Zdaje ci się, że te strwożone postacie, zaparły się nietylko języka, ale i myśli!

Sylvio rozmawia w więzieniu z mieniącym się być synem Ludwika XVI., koresponduje z drugimi, widuje swych współkolegów, ma biblją, klucznicy dostarczają mu książek; bywa w kościele w gronie swych przyjaciół, słyszy pieśń pobożną kobiet przy muzyce organu, stacza w listach polemikę, nawraca towarzyszów niedoli do wiary, pociesza i jest pocieszanym, uduchownia się — żyje!

Nawet pod ołowianym dachem w Wenecji, przychodzą do niego małe dziatki. Naiwna Zanze, córka dozorcy, przynosi mu kawę, mówiąc: „To ja tę kawe robiłam" albo li też: „Gdy nie widzę mego narzeczonego, wszędzie mi się nudzi, wyjąwszy tutaj."

„Wizyty Zanzy, powiada, pokrywały rzeczywistym wdziękiem moje nieszczęście i podwajały życie. Jej towarzystwo było dobrodziejstwem, ono łagodziło mój charakter."

Piekąc się w gorącu, skąsany od komarów, zapytuje siebie: „Czy chciałbyś być wolnym i przejść do innego mieszkania, ochłodzonego miłym zefirem, lecz nie widzieć więcej tej serdecznej dziewczyny?"

„Wyznam — dodaje — że nie czułem odwagi, aby odpowiedzieć sobie na to pytanie."

O! ileż to zasiłków życia, które dopomagały włoskiemu patrjocie do nabierania otuchy, do powstawania z upadku, któremu poddawał się niekiedy, do ukochania bliźniego, więcej, jak samego siebie! Okoliczności powyższe, jak mnóstwo innych, rozwijały błogo jego charakter. Czuł on za miljon współbraci, i znajdował szczęście w uczuciu własnem; a postępując tą drogą, wzniósł się do najwyższej potęgi, archanielskiej czystości ducha: nauczył się przebaczać swym wrogom!...

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Odpowiedzialny za Redakcję i Wydawnictwo: *Teodor Mazuryk*. Drukiem Kornela Pillera.